



KOSZEWSKA

MONIKA

**ŚCIŚLE
TAJNE**

ANDRZEJ KOWERSKI

**SZPIEG
BEZ CIENIA**

MONIKA KOSZEWSKA

ANDRZEJ KOWERSKI –
SZPIEG BEZ CIENIA

Krzysztof Kamil Baczyński

Poległym

Nocą, gdy ciemność jest jak zwierzę czarne,
stoi cisza jak lęku drgający biały słup.
I żyła śmierci bije: na marne – drży – na marne,
a rano znów się potknę o rozkopany grób.

A dniem stół pusty stoi, zabrakło na nim rąk,
które by razem ze mną wznosiły kruchą sieć,
a uporczywe twarze i ciała wokół siedzą,
jak gdyby tu przykute miłości mroczną wiedzą,
i głos na ścianach osiadł jak szron i dzwoni: «Leć!»

I każą mi: «Zapomnij!» Więc ręce ciężkie włożył
w ciężarny otwór gliny i pracy toczyć głaz,
więc jeszcze dzień obrócić, jak mokry piach wyłożyć,
odetchnąć jeszcze śmiercią i jeszcze, jeszcze raz.

A potem znowu noc i słuchać długo trzeba,
jak schodów trzask się wznosi, jak dławi płótno czarne,
a w szyby śniegu bicz: «Na marne – drży – na marne!»

I życie w gardle tkwi jak ostry kamień chleba,
i czuję was w ciemności bez ziemi i bez nieba.

I wtedy trzeba wierzyć, i każą mi: «Zapomnij!»
I trzeba martwą broń zamienić w krzyż i płomień...
Ulice moich dróg są wszystkie w górę – strome,
i cienka struga krwi jak lont się spala – do mnie.

Żelazna miłość – tak – wybuchło, zgasło, starło,
pozostał tępy mus, co w pięści tkwi jak gwóźdź.

Zapomnieć teraz, zdrętwieć, milczeniem tak się struć,
żeby mi piskłę ognia na dłoni nie umarło.

Odeszli. Noc po nocy. Coraz to krzyk za gardło
i tylko cisza po nich i dzwoni śniegu słup,
ale się głupie ciało jak ciężki pień uparło,
choć rano – ktoś się potknie o mój dymiący grób.

6 I 1944 r.

Dla tych, którzy żyją w cieniu,
abyśmy my mogli żyć w świetle

Andrzej Kowerski, szpieg bez cienia

Wydanie pierwsze, 978-83-967747-6-7

© Monika Koszewska, Sopot 2024

Wszelkie prawa zastrzeżone. Kopiowanie, reprodukcja lub odczyt jakichkolwiek fragmentów tej książki w środkach masowego przekazu wymagają pisemnej zgody Moniki Koszewskiej.

Redakcja językowa: Magdalena Białek

Korekta: Patryk Białczak

Okładka: Daniel Malinowski, Wizjonerzi Agencja Reklamy

Skład: Katarzyna Skuta

Druk i oprawa: Elpil

Wydawnictwo 1PUNKT Sp. z o.o.

ul. Emilii Plater 19; 81-777 Sopot

Zapraszamy na strony:

www.monikakoszewska.pl

www.facebook.com/monikakoszewskaautorka

www.instagram.com/monikakoszewska_autorka

Kup książkę: www.monikakoszewska.pl



Spis treści

1.	Lawina	9
2.	Świadełtwo dojrzałości	18
3.	Numer cztery	24
4.	Pierwsza stolica Polski	35
5.	Absolwent	43
6.	Dwudziestodwulatek nie żyje	49
7.	Nadzieja	56
8.	W przeddzień wojny	62
9.	Więc jest wojna	71
10.	Armia rosyjska wkroczyła	82
11.	Nic tu po mnie	88
12.	Budapeszt	93
13.	Donosiciel	103
14.	Ten blask	112
15.	Ruch na Dunaju	124
16.	Obóz Esztergom	131
17.	Ludwik Popiel	143
18.	Odważna, niezłomna	149
19.	Zdrajca	161
20.	Rozejm w Compiègne	169
21.	Zazdrość	178
22.	O jednego za dużo	189
23.	Inverlochy, hrabstwo William	196
24.	Depesza od Kazimierza Rzewuskiego	210
25.	Pójdziecie z nami	217

26. Wolność jest chwilą ulotną...	224
27. Sir Owen O'Malley	230
28. Podróż w bagażniku	239
29. Belgrad	245
30. Sambuł	260
31. Hotel z widokiem na Bosfor	270
32. Sambuł	280
33. Syria, Palestyna, Egipt	289
34. Palestyna, kolejny etap podróży	296
35. Kair, zesłanie	302
36. Wybawiciel generał Stanisław Kopański	309
37. Skok ze spadochronem i protezą	319
38. Mord w Zbydniowie	328
39. Londyn	336
40. Katyń	343
41. Audiencja u papieża	350
42. Wzgórze Monte Cassino	364
43. Niemieckie okrucieństwo we Włoszech	374
44. Godzina W	381
45. Prosto z płaskowyżu Vercor	391
46. Misja „Freston”	399
47. Major brytyjskiej armii	405
48. Nansen	413
49. Pękło mi serce	424
Epilog	446
Bibliografia	465
Materiały uzupełniające	451

Rozdział 1

Lawina

Tak niewiele brakowało, a nie dożyłbym swoich osiemnastych urodzin i nie otrzymałbym świadectwa dojrzałości...

Od dziecka uprawiałem sport – jeździłem na nartach, w siodle się urodziłem, a broń strzelecką ojciec Stanisław wkładał mi do kołyski. To oczywiście żart, aczkolwiek strzelać potrafiłem. Pamiętam doskonale, że tego pamiętnego dnia, 18 marca 1930 roku góry były pokryte śniegiem, ale przez chmury przebijały się promienie słońca. Cóż się dziwić, przecież była to już końcówka zimy, która zaraz miała ustąpić miejsca wiosnie. Z moim starszym o jedenaście lat bratem Grzegorzem oraz naszymi przyjaciółmi, wyśmienitymi narciarzami – Władysławem Czechem i jego małżonką Wilżanką Czechową – wybraliśmy się w Wysokie Tatry. Mieliśmy doborowe towarzystwo. Byli z nami jeszcze sędzia Stachowski i inżynier Karpij.

O mały włos mogłaby to być moja ostatnia wyprawa w góry. Mieliśmy zjechać do Doliny Ciemnosmreczyńskiej. Podchodziliśmy pod Przełęcz Liliowe,

która położona jest na wysokości tysiąc dziewięćset pięćdziesięciu dwóch metrów nad poziomem morza, pomiędzy szczytami Beskidu i Skrajnej Turni. Teren w okolicach przełęczy jest typowy dla wysokich partii Tatr. Wznoszące się szczyty i ostre grzbiety otaczają wąską, wyraźnie uformowaną przełęcz. Jest to teren górski z wyraźnymi cechami alpejskimi – ostre wzniesienia, głębokie żleby i strome stoki. W okolicach Przełęczy Liliowe można dostrzec liczne skały i piargi, a także formacje skalne, które nadają temu miejscu surowy i majestatyczny charakter.

Kiedy zaczęliśmy trawersować Liliowe, wiał silny wiatr.

Pani Wilżanka Czechowa, zwinna, jak na kobietę wysportowaną, dobra narciarka, lecz trochę roztrzępana, wspinała się przede mną. Nagle się odwróciła i zapytała:

– Nie chce pan posmarować twarzy kremem? Ochroni przed wiatrem i słońcem, a ma pan, panie Andrzeju, dość jasną karnację, łatwo o poparzenie.

– Ma pani rację. Bez skóry na twarzy nie znajdę odpowiedniej kandydatki na żonę. Każda kobieta będzie na mnie patrzyła z odrazą.

W pierwszej chwili chciałem podziękować i odmówić, ponieważ w gruncie rzeczy uważałem smarowanie się kremem na wysokości prawie dwóch tysięcy metrów nad poziomem morza za bezsensowny pomysł,

ale nie chciałem urazić kobiety, więc ostatecznie przystałem na jej propozycję.

– Andrzejku, więcej kremu, nie żałuj sobie. Wyglądasz, jakbyś przygotowywał się do występów w cyrku – naśmiewał się mój brat.

– Grzegorz, czemu ze mnie drwisz?

– Ja? Drwię z ciebie? Skądże, jakże bym mógł.

Moje zaangażowanie w pokrywanie twarzy grubą warstwą kosmetyku wywołało ogólne rozbawienie. Wszyscy towarzysze wyprawy zaczęli zanosić się śmiechem. Ogólnie rzecz biorąc – byliśmy w wyśmienitych nastrojach. Ruch na świeżym powietrzu zwiększył chęć do żartów.

– Co w tym śmiesznego? Zobaczę, jak będzie wam wesoło, gdy stojąc przed lustrem, ujrzycie odpadające płatki skóry.

– Oj, puszek do pudru mi spadł! – zaczęła w pewnej chwili lamentować pani Czechowa, której wiatr wyrwał z rąk to jakże ważne kobiece akcesorium.

Pobiegła więc za swoją zgubą, podcinając przy tym śnieżne zbocze. A potem już potoczyło się szybko. Poczujęm, jakby pokrywa śnieżna pękła nam pod nogami. Zapiąłem na prędcie wiatrówkę pod szyję, naciągnąłem beret i zacząłem uciekać.

– Lawina schodzi! – krzyknął Władysław Czech, który z Grzegorzem podchodził jako pierwszy.

– Zsuwam się! Uwaga, panie sędzio!

Zobaczyłem przed sobą wąskie gardło skalne, a dalej była tylko przepaść.

Cholera, co mam zrobić? Nie mam wyboru...

Zdecydowałem się na skok. Udało mi się ominąć skały na dole. Gdy wylądowałem, pomyślałem, że cudem udało mi się ująć z życiem. Odpiąłem narty... aż tu nagle runęła na mnie wielka połać śniegu!

Już niczego nie słyszałem. Zdążyłem tylko podnieść ręce przed siebie i nabrać powietrza, zanim plecak przykrył mi twarz. Spanikowałem, czułem się bezsilny i przerażony. Nie byłem w stanie ruszyć ani ręką, ani nogą. Moje długie kończyny stały się niemal martwe, były niczym odlane z betonu.

Kręciłem się w miejscu, przesuając raz w prawo, raz w lewo. Wiłem się jak larwa. Krzyżeć nie byłem w stanie. Czułem, jak śnieg wypełnia powoli moje usta i nozdrza. Wiedziałem, że nie mogę się poddać, chociaż momentami odnosiłem wrażenie, że zimno odcina mi komórki mózgowe. Zaczynałem coraz wolniej oddychać, a w głowie kłębiło mi się coś w rodzaju koszmaru sennego. Nie wiedziałem, ile to wszystko trwało. Do końca jednak wierzyłem w to, że wydostaną mnie na zewnątrz.

Nagle w ciszy, jaka mnie otaczała, usłyszałem głosy. Nadzieja na ratunek wróciła. Poczułem dotkliwe ukłucie w nogę. *Czyli nie zamarzęm i mam czucie! Jest szansa, że stanę na nogi!*

– Panie Andrzeju, słyszy mnie pan? Jestem generał Zaruski. To cud! Przez dwadzieścia pięć lat mojej pracy

ratowniczej nie udało się po tylu godzinach wydobyć żywego człowieka spod dwumetrowej pokrywy śnieżnej. Naprawdę, opatrność Boża nad panem czuwa.

Nagle ujrzałem tę twarz smaganą wiatrem, mrozem i słońcem, jakby natura przez lata próbowała wyryć w niej swoją historię – generał Mariusz Zaruski, człowiek, z którym mój ojciec, Stanisław, lubił prowadzić dysputy. Będąc w Zakopanem, opróżnili niejedną butelkę rumu, rozmawiając i spierając się na różne tematy. Był to człowiek wszechstronnie uzdolniony, fotograf, malarz, poeta, prozaik. Marynarz, żeglarz i podróżnik. Konspirator, zesłaniec, legionista, ułan, generał brygady i adiutant generalny prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej. Był jednym z propagatorów taternictwa zimowego.

– Co z Grzegorzem?

– Pana brat żyje. On i Władysław Czech pozostali na zewnątrz, przeżyli lawinę. Wie pan, ile czasu spędził pan pod śniegiem?

– Całą wieczność, panie generale.

– Cztery i pół godziny. To naprawdę cud, że pan żyje.

– Co się stało?

– Lawina zesłała!

– Zdążyłem się zorientować. Jest mi potwornie zimno.

– Porwała was lawina schodząca ze stoku Liliowego, przerzuciła przez uskoki skalny i zniosła w dół, w okolicy Zielonego Stawu. Widzieli to narciarze z Hali Gąsienicowej, którzy podjęli szybką akcję ratunkową.

- Wszyscy żyją?
 - Panie Andrzeju, proszę nie tracić teraz sił na zamartwianie się o innych.
 - Przedemną podchodziła pani Wilzanka Czecho-wa. Co z nią, co z nią?!
 - Wydostaliśmy ją spod lawiny. Zwieźliśmy ją do schroniska. Może się pan ruszać?
 - Tak.
 - To dobrze. Proszę leżeć spokojnie, pana również tam zwieziemy. Lekarz musi pana obejrzeć.
 - A inżynier Karpij, a sędzia Stachowski?
 - Co za człowiek! Pan ma jakieś siły nadprzyrodzone.
 - Żyją?
 - Sędzia odniósł obrażenia, przewieźliśmy go do szpitala. Poszukiwania inżyniera nadal trwają.
- Leżąc pod śniegiem, miałem nadzieję, że Grzegorz nie został przysypany lawiną.
- Był moim przyrodnim bratem. Moja mama była drugą żoną Stanisława Józefa Kamila Kowerskiego. Mężczyzny, którego zawsze podziwiałem. Był człowiekiem wykształconym, prawym, wiernym swoim zasadam. Po ukończeniu rosyjskiego gimnazjum męskiego w Lublinie w 1889 roku rozpoczął studia w Instytucie Gospodarstwa Wiejskiego i Leśnego w Puławach oraz na Uniwersytecie w Halle. W 1895 roku uzyskał tam doktorat z filozofii.
- Z Grzegorzem łączyły nas bardzo dobre relacje. Krzysztofa, mojego drugiego brata, pamiętam

jak przez mgłę, był legionistą, zginął na polu walki 22 marca 1919 roku. Walczył w pułku ułanów, pod dowództwem generała Wacława Iwaszkiewicza. Jego śmierć była rodzinną tragedią. Po latach ojciec opowiadał:

– Grzegorz, Andrzej, patriotyzm, odwaga, walka z wrogiem to wartości, którymi kierował się wasz brat Krzysztof. Zginął w walce na froncie ukraińskim w obronie Gródka Jagiellońskiego. Walczyli o przywrócenie łączności ze Lwowem.

– Krzysztof był operatorem karabinu maszynowego, prawda, ojcze?

– Tak, Andrzej. Nie powinien był zginąć. Wykonał swoje zadanie: puścił serię, zabijając żołnierzy wroga. Gdy przesunął swoją broń, dosięgła go kula przeciwnika, która przeszła jego głowę na wylot i utknęła w plecach.

– Ojcze, Krzysztof będzie dla nas wzorem do naśladowania.

– Andrzej, ty masz studiować rolnictwo, a nie myśleć o wojence.

– Muszę najpierw zdać maturę.

Wiele czasu nie upłynęło od naszej rozmowy, a los wystawił na próbę tym razem moje życie. Zastanawiałem się, czy informacje o wypadku dotarły już do rodziców i jak się czuje moja matka. Zapewne, jak zwykła robić w obliczu nieszczęścia, modliła się z ojcem do Maryi. To Maryja mnie uratowała czy może

miłość mojego starszego brata? Grzegorz zapewne naciskał na ratowników, żeby nie ustawiali w poszukiwaniach, mimo że szanse na odnalezienie żywego człowieka w takich okolicznościach były żadne. Nie wiem, czy byłem przez cały ten czas przytomny. A jednak stał się cud.

W końcu zjawił się i on we własnej osobie – rosy mężczyzna, zasadniczy. Jeśli chodzi o sposób bycia, był moim przeciwieństwem. Brakowało mu poczucia humoru, zawsze brał wszystkie sprawy na poważnie. Często różnie postrzegaliśmy te same kwestie. Mimo wszystko nigdy wcześniej nie cieszyłem się na jego widok tak jak tamtego dnia.

– Andrzej, nawet nie zdajesz sobie sprawy z tego, jak się o ciebie martwiłem. Nawet wybaczyłem ci twoją wścibskość i to, że wciąż musiałem tłumaczyć się za ciebie przed rodzicami.

– Ja też, bracie, cieszę się, że cię widzę żywego.

– Cały ty, nawet uśmiechasz się w takim momencie.

– Mam płakać? Przecież żyję. To jest wystarczający powód do radości.

Wróciliśmy do Zamościa. Stałem w holu przed wielkim lustrem w ozdobnej ramie i uświadomiłem sobie, że mogłem już nie ujrzeć mojej twarzy z wyraźnie zarysowaną szczęką i wystającymi kośćmi policzkowymi,

którą tak niedawno smarowałem beztriosko kremem, nie wiedząc, jakie niebezpieczeństwo na mnie czyha. Ciemne włosy, które na co dzień nosiłem starannie, gładko zaczesane, były sklezione i powykręcane w różne strony. Prosty nos był czerwony, a usta, o których matka mówiła, że są proporcjonalne do reszty twarzy, wyschnięte i popękane.

Ojciec, matka i moja młodsza siostra Maria wyściskali nas obu. Kobiety miały łzy w oczach, a ojciec, jak na eksperta do spraw produkcji alkoholu przystało, udawał twardziela. Później Maria powiedziała nam, że również był pogrążony w rozpacz. Mama się rozkleiła:

– Andrzej, proszę, spójrz na mnie swoimi bystrymi oczami. My się za ciebie modliliśmy i poprosiliśmy o żarliwą modlitwę w intencji twojego ocalenia siostry ze Zgromadzenia Sióstr Franciszkanek Misjonarek Maryi.

– Tak myślałem, że żyję tylko dzięki łasce Bożej. Wilżanka Czechowa, mimo że została szybko odnaleziona, nie miała tyle szczęścia. Zmarła wczoraj po południu na skutek obrażeń wewnętrznych, zdaje się, że miała złamany kręgosłup.

– Chłopcy...

– Tak, ojczy?

– Otrzymałem telefon. Odnaleźli inżyniera Karpija, niestety, jak się domyślacie, martwego. Świeć, Panie, nad jego duszą.

– Nie miał tyle szczęścia, co ja i sędzia Stachowski. Widocznie tak było mu pisane.

Rozdział 2

Świadectwo dojrzałości

Wyście z lawiny bez szwanku było łaską od Boga czy ostrzeżeniem? Egzaminem mojej dojrzałości, próbą sprawdzenia, czy nadal jestem lekkoduchem szukającym powodów do wszczynania awantur, czy dojrzałym człowiekiem? Z tymi bójkami to nie do końca była moja wina, bywałem trochę nadpobudliwy, to fakt, czasami energia mnie roznosiła, ale wbrew opinii profesorów to nie ja szukałem powodów do swady, tylko moi towarzysze nie wynieśli odpowiedniego wychowania z domów, a ja nie zamierzałem być popychadłem. Często, ku przeżeniu mojej matki, przychodziłem do domu poobijany i podrapany. Sama była jednak niespokojną duszą. Nie chwaliła się tym, ile razy spadła z konia, a miała ku temu wiele okazji. W młodości brała nawet udział w zawodach hipicznych.

Moja mama twierdziła, że żyję dzięki modlitwom sióstr franciszkanek, misjonarek Maryi, i powinienem zacząć uważać na siebie, nie kusić losu.

– Andrzeju, po tym, jak dowiedzieliśmy się z ojcem o tragedii w górach, zawierzylimy twoje życie

modlitwie sióstr franciszkanek. Ich modlitwa była na tyle gorliwa, że jesteś cały i zdrowy. Generał Zaruski...

– Tak, wiem, z jego doświadczenia wynika, że nie powinienem być przeżyć. Widocznie Bóg przygotował dla mnie jakąś misję.

– Ty się, synu, uśmiechasz i sobie drwisz, a my z ojcem od zmysłów odchodziliśmy.

– Zupełnie niepotrzebnie, nauki ojca nie poszły na marne. Uciekałem co sił w nartach przed lawiną. Jak mnie przysypała, to postanowiłem, że nie dam za wygraną. W końcu matura tuż-tuż.

Z 1930 roku pozostała w mojej pamięci nie tylko wyprawa narciarska, z której niewiele brakowało, a bym nie wrócił. Życie wystawiło mnie na kolejną próbę, tym razem było to nieuniknione. Od paru lat miałem świadomość, że przyjdzie się z nią zmierzyć – z maturą, którą zdawało niewielu moich rówieśników. Rzeczpospolita borykała się z problemem analfabetyzmu wśród młodzieży. Po ukończeniu szkoły powszechnej następował okres szkolenia ogólnokształcącego, które składało się z sześciu klas. Ten poziom podzielony był na dwa następujące po sobie etapy. Pierwszym było czteroletnie gimnazjum, które wieńczyła tak zwana mała matura. Dopiero wówczas można było pójść do dwuletniego liceum, które kończyło się dużą maturą.

Pozytywnie zdany egzamin pomagał rozpocząć karierę. Matura była twardym orzechem do zgryzienia.

Maturzysta musiał władać łaciną, mile widziana była także znajomość innego języka starożytnego. Ja i moje rodzeństwo mieliśmy to szczęście, że nasi rodzice byli wysoce wykształconymi ludźmi i przykładali dużą wagę do naszej edukacji.

Ojciec był absolwentem nauk przyrodniczych i rolniczych na uniwersytecie w Halle, gdzie zdobył również doktorat. Jego praca dotyczyła uprawy gorczycy.

Jednak rolnictwo zupełnie nie leżało w kręgu moich zainteresowań.

Z ojcem mieliśmy odmienne poglądy co do mojej przyszłości.

– Andrzej, będzie ci się podobało w Krakowie, to piękne miasto, dawna stolica Polski.

– Ojcze, dlaczego mam studiować akurat tam?

– Ja ukończyłem rolnictwo i chciałbym, żebyś ty również został absolwentem tego kierunku. W czasach wielkiego kryzysu warto mieć gruntowne wykształcenie. Polska wieś potrzebuje wykształconych, inteligentnych gospodarzy. Sześćdziesiąt jeden procent Polaków pracuje na roli. Produkcja rolnicza stanowi siedemdziesiąt dziewięć procent ogólnej wartości wytwarzanych w kraju dóbr. Miejmy nadzieję, że recesja nie dotknie gospodarki Drugiej Rzeczypospolitej. Teraz musi się mierzyć z nią przemysł włókienniczy i skórzanym, nieco hutniczy i metalowy.

– Tata zobaczy, nastąpi spadek cen artykułów produkowanych i sprzedawanych przez wieś. Będziemy

musieli obniżyć koszty produkcji. Wie ojciec, jak to się skończy?

– Rolnictwo jest podstawą naszej gospodarki, ludzie muszą jeść.

– Rolnikom musi się opłacać produkować żywność. Zaraz sami zakasamy rękawy i pójdziemy na rolę. Muszę mieć stabilniejsze zajęcie, takie, na które krach na giełdzie, taki jak ten z dwudziestego czwartego października dwudziestego dziewiątego roku, nie będzie miał wpływu.

– Synu, jaki zatem masz na siebie pomysł?

– Na ten moment chcę zdać maturę. Zanim to nastąpi, idę pojeździć konno. Już i tak niczego się nie nauczę.

Nie byłem wybitnym uczniem, aczkolwiek nie miałem problemu zarówno z przedmiotami humanistycznymi, jak również ze ścisłymi. Na moim świadectwie z 11 kwietnia widniały takie oceny jak: religia – bardzo dobrze, język polski – dostatecznie, łacina – dostatecznie, niemiecki – dostatecznie, historia wraz z nauką o Polsce współczesnej – dostatecznie, fizyka – dobrze, matematyka – dostatecznie, propedeutyka filozofii – dobrze, rysunek – bardzo dobrze, ćwiczenia cielesne – bardzo dobrze. Mówiło się o mnie, że mam lotny umysł. Wszechstronnie uzdolniony. Tak mi się wydawało dopóty, dopóki nie przeczytałem zadania na egzaminie...

„Promień podstawy stożka jest równy r , tworząca jest nachylona do podstawy pod kątem α . W tym

stożku przesunięto płaszczyznę przez wierzchołek pod kątem β do podstawy. Znaleźć pole otrzymanego przekroju. Ustalić zależność między α i β , aby zadanie było możliwe. Wykonać obliczenia przy r równa się 27,42 m, α równa się $36^\circ 43''$, β równa się $57^\circ 28''$.

Czułem, jak strużki potu spływają mi po plecach. Na szczęście nie z czoła, bobym atrament rozmazał.

Podszedł do mnie dyrektor szkoły.

– Andrzej, dobrze się czujesz?

– Tak, panie profesorze.

– Jesteś blady. Podczas egzaminu z łaciny i polskiego nie zauważyłem, żebyś się denerwował.

– Jakżebym mógł, mając tak wyśmienitego pedagoga. Żadne zadanie nie stanowiło dla mnie problemu. Już jest lepiej, jakaś szufladka otworzyła się w głowie. Chyba wiem, jak rozwiązać to zadanie.

– Kowerski, nie śpiesz się, masz sporo czasu.

Zawsze było mi śpieszno. Podejmowałem decyzje *ad hoc*. Nie należałem do osób, które marnowały czas na przeprowadzanie analizy. Przecież życie jest zbyt krótkie, o czym parę lat po mojej maturze przekonały się miliony ludzi.

Dyrektor szkoły, Kazimierz Lewicki, zacny człowiek, uczył polskiego i łaciny. Był prezesem Oddziału Zamojskiego Towarzystwa Nauczycieli Szkół Średnich i Wyższych oraz honorowym obywatelem miasta Zamościa i wyśmienitym pedagogiem.

Dzięki takim nauczycielom jak on, szczerze szczęścia, no i może pracy, jaką włożyłem w samokształcenie, 31 maja 1930 roku otrzymałem świadectwo dojrzałości. „Państwowa Komisja Egzaminacyjna uznała Kowerskiego Andrzeja za dojrzałego do studiów wyższych i wydaje mu niniejsze świadectwo”. Egzamin ustny: język polski – dostateczny, niemiecki – dobry, historia wraz z nauką o Polsce współczesnej – dobry i matematyka – dobry. Z kolei z egzaminów pisemnych uzyskałem: niemiecki – dobry, historia – dobry, matematyka – dobry.

Duża matura była zdana, nadszedł czas na realizację marzenia! Tylko miałem tyle zainteresowań. Zastanawiałem się, czy ja tak naprawdę wiem, co chciałbym w życiu robić.

Rozdział 3

Numer cztery

Zostałem wychowany w duchu miłości do ojczyzny i wiedziałem, że muszę nauczyć się jej bronić.

Dzięki protekcji ojca zostałem ułanem z cenzusem w Wołyńskiej Szkole Podchorążych. Szkoła miała swoją siedzibę we Włodzimierzu Wołyńskim. Miasto to do 24 stycznia 1919 roku należało do Republiki Ukraińskiej. Armia polska walczyła o zajęcie Włodzimierza od 24 listopada 1918 roku. Był stolicą powiatu włodzimierskiego, który zajmował południowo-zachodnią część województwa wołyńskiego. Od zachodu graniczył z województwem lubelskim, od północy z powiatem lubomelskim, od wschodu częściowo z powiatem kowelskim, częściowo zaś z horochowskim, a od południa z województwem lwowskim.

Nastał 11 sierpnia 1930 roku. Do Włodzimierza przyjechałem koleją. Po przyjeździe na miejsce wszedłem do budynku dworca.

Na ławce siedział wysoki, trochę posepny facet. Miał postawę taką, jakby przez cały czas składał dłonie do modlitwy. Taki typ, do którego na pożegnanie

mówisz „do zobaczenia”, a on odpowiada „idź z Bogiem”. Miał walizkę, przeglądał jakieś papiery, domyśliłem się, że podąża w tym samym kierunku. Podszedłem do niego, we dwóch to zawsze różnie, tym bardziej że nie wiedziałem, co mnie czeka w drodze do koszar.

– Serwus. – Chciałem, żeby się uśmiechnął.

– Dzień dobry. Tadeusz Federowicz – odpowiedział z powagą w głosie.

– Andrzej Kowerski.

– Ten Kowerski?

– Zależy, o którego pytasz.

– Twoją babką była Zofia Kowerska, pisarka?

– Tak, Tadeuszu – odpowiedziałem z uniesioną głową. Nie spodziewałem się, że chłopak w moim wieku będzie zaznajomiony z jej twórczością.

– W naszej bibliotece rodzice gromadzą dzieła twojej babki. *Historia o nieśmiałej dziewczynie*, *Bracia z wyboru*, *O wychowaniu macierzyńskim*, *Wydalona*, *Na służbie*, *Losy Adasia*, *Mały zbawca*, *Pani Anielska*. Guwernantka nam czytała.

Moja babcia była pisarką i krytykiem literatury. Została nagrodzona przez „Tygodnik Ilustrowany” za nowelę *Wydalona*, w której poruszyła temat rugów pruskich. Z bratem i siostrą byliśmy wychowywani na jej literaturze wychowawczo-patriotycznej.

– Miło mi, Andrzej, że mam przyjemność poznać jej wnuka – dodał Tadeusz.

– Do którego dywizjonu cię przydzielili? Bo jak mniemam, przyjechałeś do szkoły podchorążych?

– Do pierwszej baterii artylerii konnej. Przypisano mi numer trzynaście.

– To przyjdzie nam spać w jednej izbie!

– Skąd ta pewność? – Tadeusz cały czas miał posępną minę. Wyglądał tak, jakby się czymś zadręczał.

– Zostałem przydzielony do tej samej baterii. Tylko ja otrzymałem numer cztery. Czas na nas.

Mieliśmy do przejścia dwa kilometry po dość błotnistej drodze. Mimo że był sierpień, ostatnie dni były deszczowe. Część drogi przemierzaliśmy po brukowanej okrągłymi kamieniami drodze, na zewnątrz okolonej drewnianymi chodnikami, które miały chronić przed błotami wołyńskimi.

– Tadeuszu, spójrz ponad dachy budynków.

– O nie! Wdepnąłem w błoto, a tak uważałem.

– To tylko błoto. Spójrz, wysokie pagórki, porośnięte lasem, odchodzącym w kierunku Lwowa.

– Kowerski, ale z ciebie romantyk.

– Federowicz, nie romantyk, tylko wychowałem się na wsi i potrafię docenić piękno przyrody. Z moją koleżanką Kryską jeździliśmy konno do lasu. To były beztrudne czasy, a ona była nieźle szurnięta, nie odczuwała lęku. Czym większa adrenalina, tym lepsza zabawa.

Dochodziliśmy do koszar. Przed nami były budynki z czerwonej cegły, z wysokimi potężnymi kominami

przypominającymi rozpostarte ptasie ogony – charakterystyczne dla koszar stawianych przez Rosjan. Pomyślałem, że zapewne w izbach jesienią i zimą panuje chłód, wilgoć i jest pleśń.

Dotarliśmy na miejsce. Tak jak zakładałem, Tadeusz i ja otrzymaliśmy łóżka w tej samej sypialni. Pod ścianą były równo ustawione szafki, na których mogliśmy położyć nasze walizki. Łóżka metalowe, z siennikami, których nie dało się wyrównać nawet pod naciskiem taboretów. Próbowaliśmy w kilku ugładzić powierzchnię legowiska, ale niestety bez efektu.

W koszarach występowały również problemy z prądem. Po godzinie dwudziestej trzeciej używaliśmy lamp naftowych.

Ledwo co zdążyliśmy się położyć, a już musieliśmy podać się porannej mustrze.

Wybiła piąta trzydzieści, donośny głos ogniomiistrza, Jana Kubiaka, postawił nas na równe nogi. Wyrwał mnie z głębokiego snu.

– Baczość! Do apelu przystąp!

Mieliśmy pięć minut na posłanie łóżek, umycie się i stawienie się na apelu. Każdy dzień rozpoczynaliśmy modlitwą i szybkim śniadaniem. W jadalni były równo ustawione drewniane ławy. Przy każdej siadało czterech, pięciu szeregowych. Nie było czasu na rozmowy,

o szóstej trzydzieści musieliśmy iść na formalną musztrę i zajęcia sportowe.

Piąty kurs rozpoczynało wraz ze mną tysiąc dwudziestu sześciu poborowych z cenzusem. Do 1 marca 1931 roku dotrwało siedmiuset dwudziestu dziewięciu.

O szóstej trzydzieści rozpoczynały się ćwiczenia z musztry pieszej, stawania na baczność i zwrotów.

Następnie były wykłady o sprzęcie artyleryjskim.

– Poborowi, baczność!

Wszyscy – no, prawie wszyscy – wstawali zza ławek, jakby ktoś w tym samym czasie wbił im pinezkę w tyłek. Niektórzy, mniej wysportowani, tracili równowagę, ale dwadzieścia pompek szybko prostowało ich sylwetkę.

– Jesteście nowi, chociaż już nie tacy młodzi. Wiele musicie się nauczyć. Niewielu z was dotrwa do końca. Mieliśmy przypadki samobójstw, samookaleczenia i nieszczęśliwych wypadków! – huczał w naszym kierunku kapitan Kazimierz Leśniewski. Tembr jego głosu powodował, że nawet nie pomyśleliśmy, żeby stopa odchyliła się choćby na milimetr. – W ramach zagadnienia „natarcie” należy wymienić trzy rodzaje ognia artyleryjskiego... W kolejnych dniach omówię zagadnienia związane z obroną. Instrukcję strzelania musicie znać jak pacierz. To samo dotyczy obsługi dział baterii. Równie ważnym zagadnieniem jest służba połowa artylerii, hipologia.

Stałem, słuchałem i coraz szerzej otwierałem oczy. Podczas jednego z wykładów Józef Cyrankiewicz z drugiej baterii wypalił z broni, ale nie palnej, tylko słownej. Chciał dyskutować z bombardierem, podczas gdy ten omawiał obsługę dział baterii.

– Panie Cyrankiewicz! – huknął Jan Kubik. – Jak pan jest takim wytrawnym znawcą tematu, to po wykładach zapraszam na poligon.

Pod wąsem Cyrankiewicza pojawił się uśmiech.

– Tak jest, panie ogniomistrzu. – Strzelił równo nogami, wypiął klatkę, lecz radość nie trwała długo.

– Panie Cyrankiewicz, będzie pan zbierał łuski i oczyści wszystkie działa z kurzu, błota, wysmaruje lufy, zamki, powierzchnie kołyski, mechanizm kierunkowy i wszystkie części ruchome armat.

– Ale panie ogniomistrzu...

– Poborowy ma czelność mieć jeszcze jakieś „ale”?

– Nie, panie ogniomistrzu.

Pozostali poborowi z cenzusem przysłuchiwali się i nie mieli odwagi nawet głowy przekręcić. Każdy z nas mógł skończyć jak Józef Cyrankiewicz albo jeszcze gorzej – zakończyć swoje szkolenie przed czasem.

Kolejne wyzwanie stanowiła jazda konna. Dla mnie komenda „Na koń!” była jak najpiękniejsza melodia skomponowana przez Johanna Sebastiana Bacha. Jazda konna była dla mnie tak naturalną czynnością jak jedzenie i picie. Już we wrześniu myślałem o zawodach organizowanych 9 listopada z okazji Świętego Huberta.

Bieg myśliwski na odległość sześciu i dziewięciu kilometrów oraz konkurs skoków przez przeszkody. Kolejne hipiczne wydarzenie miało miejsce 4 grudnia, w ramach obchodów święta patronki artylerii – Świętej Barbary. Dziesięć przeszkód o wysokości sto dziesięć centymetrów każda.

– Andrzej, no dawaj! Kowerski, masz szansę wygrać! – pokrzykiwał Jurek Bikle, jeden z cenzusów, który nie był fanem jeździectwa.

– Staram się, jak mogę. – Wypowiedziawszy te słowa, zahaczyłem zadnią nogą konia o drąg.

Oczywiście byli tacy, którzy po raz pierwszy przeczucali nogę przez grzbiet konia, było to nie lada wyzwanie.

– Waclaw, komenda była na koń, a nie pod konia. – Podporucznik drwił sobie z jednego z naszych kolegów.

Waclaw próbował z impetem wsiąść na konia i pięknie się zsunął, pociągnął wałacha za grzywę, a zwierzak się zdenerwował i ustąpił, Waclaw zaś znalazł się w błocie, pod moim gniadym.

– Poczekaj, zsiądę z konia i ci pomogę.

– Andrzej, to miłe z twojej strony, ale i tak stałem się wystarczającym pośmiewiskiem.

– Nie jesteś jedyną osobą, której nie udało się dołączyć do szyku.

Komendantem szkoły był pułkownik doktor Ludwik Ząbkowski. Mężczyzna średniego wzrostu, z wąsem,

który nachodził na jego usta, po bokach równo przystrzyżony. Pułkownik nikomu nie odpuszczał. Jazda konna była tak ważna jak obsługa haubicy.

Dyrektorem szkoły był major Zygmunt Kazimierz Karasiński. Wysoki, postawny mężczyzna, absolwent prawa Uniwersytetu Jagiellońskiego. Następnie kształcił się na Wydziale Leśnictwa w Szkole Uprawy Ziemi w Wiedniu. Oficer z doświadczeniem bojowym. Między innymi w lipcu 1914 roku był wcielony do armii austriackiej i został przydzielony do 7 Pułku Artylerii Górskiej. W październiku 1918 roku w Leżajsku zorganizował oddział ochotników, który doprowadził do przyjęcia miasta przez władze polskie. Brał udział w zajęciu Przemyśla i w odsieczy Lwowa. Walczył podczas operacji kijowskiej 16 czerwca 1920 roku. Dowodził baterią z wysuniętego i widocznego stanowiska obserwacyjnego, odparł atak wroga pod wsią Malowa Góra. Z zajmowanego stanowiska zszedł jako ostatni. Dekretem Wodza Naczelnego, Józefa Piłsudskiego, został oznaczony Krzyżem Srebrnym Orderu Virtuti Militari.

Osiem miesięcy edukacji było wypełnione nauką teoretyczną, szkoleniami na poligonie oraz licznymi wydarzeniami. Kalendarz, który przedstawiono nam 12 sierpnia, pękał w szwach. Stojąc na apelu, z Tadeuszem Federowiczem słuchaliśmy i otwieraliśmy oczy ze zdziwienia.

– Andrzeju, ja nie jestem przyzwyczajony do tak aktywnego życia towarzyskiego.

– Ja również. Co roku w okolicach Bożego Narodzenia ojciec Stanisław organizuje polowanie, matka moja, która jest działaczką, członkinią Stowarzyszenia Zjednoczonych Polek w województwie lubelskim, organizuje bale. Nawet biorąc pod uwagę jej wyjazdy do opery i teatru do Warszawy, jej kalendarz nie jest tak wypełniony jak nasz.

Po wielu miesiącach szkolenia, po otrzymaniu nominacji, złożeniu przysięgi, uczestnictwie w balach i uroczystościach związanych z setną rocznicą powstania listopadowego i sześćdziesiątą ósmą powstania styczniowego nastąpił ten najważniejszy moment – 5 maja 1931 roku szkoła wymaszerowała na poligon. Trzy dni w marszu. Szliśmy na osi Świnarzyn–Drozdnie–Hyniatki. Pierwszego dnia dotarliśmy do Turzyska, drugiego do Bielin i w końcu do Powurska.

– Kowerski, ja mam nogi poobcierane, pięty od butów zdarte. Jak ty dajesz radę iść takim żywym marszem?

– To proste.

– Dla ciebie wszystko jest proste: jazda konna, skakanie przez drągi, jazda na nartach, strzelanie. Wszyscy padają, mają dziury w stopach, a ty masz czelność twierdzić, że coś jest proste.

Bolesław Podśędowski, dwudziestolatek średniego wzrostu, z gęstą czarną czupryną, był absolwentem gimnazjum w Grodnie. Młody, niedoświadczony człowiek. W sumie nikt z nas nie posiadał odpowiedniego doświadczenia. Trzy lata więcej czy mniej w metryce, kiedy kule świstają nad głowami, nie miały żadnego znaczenia.

– Bolesławie, dla ciebie z kolei nic nie jest proste. Topografia, terenoznawstwo, służba w polu czy ćwiczenia łączności stanowią dla mnie nieodkrytą księgę, jak dla wielu z nas.

– Kowerski, nie zgrywaj się, strzelasz z zamkniętymi oczami, a na koniu potrafisz galopować bez siodła.

– Od dzieciaka z ojcem, a zdarzało się, że i z jego przyjacielem, hrabią Skarbkim, oraz jego szaloną córką, Krystyną, jeździłem na polowania. Stąd moje umiejętności. Tylko te umiejętności na nic się przydają, jak jesteś na linii ognia. Mimo tego, że na ćwiczeniach używaliśmy ślepych naboju.

Nadszedł ten dzień – czerwiec, nie pamiętam dokładnie, który dzień, 1931 roku. Każdego dnia na ćwiczeniach w każdym dywizjonie strzelała jedna bateria. Tylko tym razem ostrą amunicją. Pozostałe mieściły się w punkcie obserwacyjnym dywizjonu. Każdego dnia odbywały się również ćwiczenia z lotnikiem.

I w końcu 18 czerwca nadszedł ten moment, zwany przez poprzednie i kolejne roczniki ostrym strzelaniem – nasza kolej.

Nagle zrobiło się zamieszanie na poligonie. Szeregowi zaczęli biegać. Ktoś do mnie machnął, przywołał mnie. Nawet nie pamiętam kto. W oddali zobaczyłem grupę osób pochylających się nad czymś. Jak się później okazało, to nie było coś, tylko ktoś.

– Andrzeju, spójrz.

– Jezu, to Stanisław Maciejewski z ósmej baterii. On miał...

– Tak, miał dwadzieścia trzy lata. Był i tak od nas starszy.

– Zbyt młody, żeby ginąć, i to jeszcze w czasie pokoju...

Rozdział 4

Pierwsza stolica Polski

Osiem miesięcy – niby długo, ale tak naprawdę minęło w mgnieniu oka.

Uroczyste zakończenie V Kursu SPRA nastąpiło 29 czerwca 1931 roku. Byłem jednym z sześciuset piętnastu uczniów, którzy otrzymali tytuł podchorążego. Dzisiaj powiedziałbym, że to nic wielkiego, ale wówczas miałem świadomość, że czterystu jedenastu się nie udało. Kilku z nich już nigdy nie spojrzy w niebo.

Na pytanie o to, co dała mi edukacja w Wołyńskiej Szkole Podchorążych, odpowiedziałbym, że przede wszystkim nauczono mnie tam szacunku do walczących w powstaniach styczniowym i listopadowym. Wpajano nam, jak ważna jest pamięć i oddanie hołdu bohaterom poległym za wolność zarówno Polski, jak i Stanów Zjednoczonych.

Szkolenie zakończyło się uroczystym pożegnaniem, podczas którego komendant szkoły wygłaszał przemówienie. Brzmiało ono mniej więcej tak:

– Podoficerowie, kończycie okres żmudnej pracy żołnierskiej. Macie wiedzę i umiejętności, które

w przyszłości pozwolą wam być dobrymi dowódcami. Pamiętajcie o sprawiedliwości w stosunku do podwładnych, dbaniu o ich potrzeby, takcie i oponowaniu. Wymagajcie od nich bezwzględnej dyscypliny, karność i lojalności. Od was wymaga się poświęcenia wszystkich sił, najlepszej woli i wiedzy. Pamiętajcie o utrzymywaniu i uaktualnianiu wiedzy i umiejętności¹.

W ciągu tych ośmiu miesięcy nauczyliśmy się, praktykowaliśmy, ale był również czas na sportową rywalizację, udział w wydarzeniach kulturalnych i... w balach.

Gdy wróciłem do domu, pierwsze pytanie Grzegorza brzmiało:

– Andrzej, poznałeś na balu jakąś ładną pannę?

– Daj spokój, panny mi nie w głowie. Po co się zakochiwać, kobiety to tylko kłopoty.

– Jak cię słucham, to odnoszę wrażenie, że ty na żadnym balu nie byłeś, tylko siedziałeś w sypialni i zakuwałeś.

– Zwariowałeś! Przestań szarpać mnie za włosy. Zaraz ja ciebie szarpnę.

Mój brat niby był starszy ode mnie, a zachowywał się jak postrzelony młodzieniec.

¹ W. Wołk-Jezińska, *Wołyńska i mazowiecka Szkoła podchorążych rezerwy artylerii*, Wrocław 2010. Oryginał przemówienia: „Żegnając Was, życzę Wam powodzenia w przyszłej pracy wojskowej, jak i w przyszłym życiu w społeczności cywilnej, gdzie musicie zająć przodujące stanowiska. Legitymacją do tego jest, że macie za sobą twardą i pełną znoju i poświęcenia pracę w szeregach armii. Zyskując stopień podchorążego, zostaliście uznani za zdolnych do dowodzenia swoimi współobywatelami w najcięższych warunkach duchowych i fizycznych, w jakich może społeczeństwo i jednostka się znaleźć – to jest na wojnie”.

– Jak bardzo chcesz wiedzieć, to przez dwa dni tańczyliśmy do utraty sił. Do tańca podrywała nas specjalnie wyszkolona do tego orkiestra.

– Szeregowy tańczył z szeregowym, żadna panna was nie chciała.

– Uważaj, bo pęknieś ze śmiechu.

– Zapomniałem, że mój brat oddał serce pewnej hrabiance, której nie w głowie życie na wsi.

– Andrzej, Grzegorzu, gdzie wy się podziewacie? Chodźcie, gości mamy! – Matka krzyknęła tak, że miałem wrażenie, że znów jestem w szkole i kapitan Kazimierz Leśniewski robi nam musztrę.

– Bracie, gratuluję! Nie martw się, może na studiach w Krakowie wpadnie ci jakaś w oko. Tylko się nie zakochaj, bo cię z uczelni wydalą.

– Grzegorzu, nie mógłbyś się wstawić w mojej sprawie do ojca? Edukacja na Wydziale Rolniczym Uniwersytetu Jagiellońskiego to nie jest spełnienie moich marzeń.

– Ukończysz studia i będziesz jak ojciec ekspertem do spraw produkcji alkoholu.

– Praca w fabryce wódek i spirytusów nie jest moim wymarzonym zajęciem.

Kolejny krok w mojej edukacji. Ojciec chciał, żebym studiował na wydziale rolniczym. Ja nie byłem przekonany, czy to jest słuszny wybór. Jedno było pewne: posłuszeństwo i szacunek – to należy okazywać

rodzicom. Nawet taka niepokorna dusza jak ja było tego w pełni świadoma.

Przeciwstawianie się ojcu nie miało najmniejszego sensu. Nie miałem pomysłu na siebie. Tak naprawdę nie wiedziałem, co chcę studiować. Ojciec miał nadzieję, że po wyjściu z kryzysu gospodarczego ponownie wzrośnie zainteresowanie spożyciem alkoholu, i istniało prawdopodobieństwo, że wspólnie uruchomimy kolejną fabrykę.

Pierwszą uruchomił on, 31 maja 1922 roku, przy ulicy Zdanowskiej w Janowicach Małych. Otrzymała nazwę Zamojska Fabryka Wódek Stefana Kowerskiego. W tym czasie był to intratny interes. W 1912 roku wypijano około trzech i czterech dziesiątych litra czystego alkoholu w przeliczeniu na mieszkańca.

W 1928 roku, tuż przed wielkim kryzysem gospodarczym, ojciec zamknął fabrykę. Dwa lata po tym, jak po rozpoczęciu produkcji powstał Państwowy Monopol Spirytusowy, który regulował cenę surowego spirytusu oraz określał limity produkcji. W 1929 roku wielki kryzys gospodarczy spowodował znaczny spadek spożycia czystego alkoholu do jednego i ośmiu dziesiątych litra na jednego mieszkańca. Na szczęście ojciec przed recesją zdążył podjąć decyzję.

– Co, braciszku, Kraków wzywa? Wielkie miasto, atrakcyjne dziewczyny, monumentalny Wawel, który króluje nad miastem.

–A drwij sobie, jeżeli sprawia ci to przyjemność.

– Przestań, Andrzej, trzy lata studiów zlecą jak z bicza strzelił. No może tylko tyle, że będziesz miał mniej okazji do jazdy konno.

– Na święta przywiozę ci danusię.

– To już wiesz, jak twoja wybranka serca będzie miała na imię? No proszę, mój młodszy brat jest jasnowidzem.

– Durniu, to jest czekoladka z fabryki Adama Piaseckiego. Mają sklep firmowy na rynku, przy ulicy Po krakowsku trzydzieści trzy.

Wydział Rolniczy Uniwersytetu Jagiellońskiego został utworzony na podstawie Rozporządzenia Ministra Oświaty z 18 sierpnia 1923 roku. W skład wydziału weszło jedenaście katedr, w tym dziewięć istniejących na studium i dwie nowe, utworzone w ramach kierunku chemia ogólna i botanika, oraz cztery jednostki naukowo-doświadczalne: Zakład Rolniczo-Doświadczalny w Łobzowie, Gospodarstwo Doświadczalne w Mydlnikach, Ogród Warzywno-Owocowy na Prądniku Czerwonym i Ogród Rolniczo-Botaniczny przy alei Mickiewicza.

Towarzystwo na uczelni było doborowe, chętne, by prowadzić typowo studenckie życie.

– Andrzej, to co, dzisiaj wieczorem wypad do Ekspandala?

– Franciszku, po wczorajszym wyjściu do Teatru Cricot nie masz dość?

– Daj spokój, zabawa w towarzystwie takiego artysty, jakim jest Józef Jorema, nie męczy, wprost przeciwnie, dodaje energii.

– Może masz rację, ostatni rok studiów, trzeba się wyszaleć. Jak nie teraz, to kiedy...

– W Zamościu nie bywają Maria Jarema, Zbigniew Proszko czy Henryk Gotlib.

– Franciszku, my niektóre przedstawienia widzieliśmy po dwa, trzy razy. Nie uważasz, że to lekka przesada?

– A pamiętasz, co profesor od biologii powtarzał? „Wiedza musi być ugruntowana”.

– Tekst ze *Śmierci Fauna* Tytusa Czyżewskiego:

Zieleni się polana,

Pachną ziola —

Cała natura rozgrzana

Słońcem!

Jakieś śpiewy od siola

Lecą czy z lasu;

Może to śpiewy Dryjad,

Może leśne Nimfy

Tyle hałasu czynią?

Niegdyś za moich młodych lat,

Po lesie za nimi gonilem —

Za bosej Dryjady ślad

Dałbym był wina czarę —

*Dzisiaj, gdy lata młode roztrwonilem,
Na słońcu się wygrzewać muszę,
Do chłopskich cisnę się chat,
Na miłość tylko patrzeć mogę;
I siedząc tak w gąszczu leśnym [...]*²

– Andrzej, ty kierunki pomyliłeś, powinieneś studiować aktorstwo, a nie rolnictwo.

– Gdybym był uzdolniony plastycznie, studiowałbym malarstwo albo rzeźbę.

– Słyszałem, że z Ignacym byliście w Muzeum Narodowym. O starym kumplu zapomnieliście.

– Franciszku, tam się nie pije, tylko chodzi i delectuje się pięknem sztuki. Wchodzisz i patrzą na ciebie postaci z obrazu Jana Matejki.

– Dla mnie to malarstwo Matejki, Józefa Chełmońskiego, Jacka Malczewskiego jest zbyt realistyczne. Malczewskiego *Śmierć Ellenai*... ile ono zawiera w sobie dramatyizmu. Układ ciała Ellenai, a także pełna bólu i bezradności postać towarzyszącego jej Anhellego oddają bezruch i ciszę śmierci. Cóż pięknego jest w śmierci? Po co ją przedstawiać w sposób naturalistyczny? Należy cieszyć się życiem!

– Oj, kiedy ty, Franciszku, dojrzejesz?

Franek był miłośnikiem sztuki awangardowej. Gdyby mógł, toby zamieszkał w siedzibie Związku Plastyków, w Domu pod Krzyżem przy ulicy Szpitalnej 21.

² T. Czyżewski, *Śmierć Fauna*, w. 11–28.

To też ciekawa historia. Pierwotnie należał do parafii mariackiej, która prowadziła tu przytułek dla ubogich, a po 1917 roku stał się miejscem propagowania awangardowej kultury.

Wracając do Muzeum Narodowego, ja zdecydowanie byłem miłośnikiem malarstwa i rzeźby. Znajomość tekstu ze *Śmierci Fauna* to zwykły przypadek. Nasz profesor, Kazimierz Lewicki, zachwycał się twórczością literacką Tytusa Czyżewskiego. Czyżewski był przede wszystkim malarzem, ale jego obrazy miały wymiar tak zwanej sztuki niezależnej.

Mnie z kolei zachwycały takie dzieła jak *Trojka* Józefa Chełmońskiego, *Widok Krakowa* Jana Fałata czy *Pochodnie Nerona* Henryka Siemiradzkiego.

Rozdział 5

Absolwent

Grzegorz miał rację – nawet nie zauważyłem, kiedy zostałem absolwentem Uniwersytetu Jagiellońskiego. W Krakowie żyło się dobrze. Podobał mi się średnio-wieczny charakter ulic, zabytkowe budowle, wśród nich Bazylika Mariacka, Wieża Ratuszowa i Sukiennice. Często przechadzałem się ulicą Floriańską, która prowadziła do Bramy Floriańskiej i dawnych murów obronnych Krakowa. Miejsca, w których bywałem, o ile fundusze na to pozwalały, to Restauracja Międzymiastowa i Cukiernia Warszawska przy ulicy Floriańskiej 24.

Od czasu do czasu pozwalaliśmy sobie z Franciszkiem i Ignacym na poranne śniadanie w Handelku w Pałacu Spiskim.

– Andrzej, zdaliśmy wczoraj egzaminy, prawda?

– Ja tak o sobie mogę powiedzieć.

– A o mnie nie?

– Ostatecznie profesor na egzaminie z hodowli roślin przymknął oko na twoją znakomitą znajomość nowych gatunków pszenicy, które współtworzył świętej pamięci profesor Edmund Załęski. Gdyby ten pionier

rozwoju genetyki hodowli roślin żył, dzisiaj nie miałbyś apetytu, mój drogi przyjacielu Franciszku.

– Nie przesadzaj, wymienię trzydzieści gatunków pszenicy.

– Wielki sukces.

– Sam, Andrzeju, widzisz, starałem się, jak mogłem. Może nie w pełni opanowałem materiał, ale najważniejsze, że ten koszmar mam za sobą.

– Niezupełnie, Franciszku... No tak, ze stu sześćdziesięciu wymieniałeś trzydzieści, więc nic, tylko ci pogratulować.

– Ty zapewne opracowanie profesora inżyniera Edmunda Załęskiego *Regionalizacja odmiany pszenicy, najważniejsze wnioski z wieloletnich doświadczeń zbiorowych* znasz na pamięć.

– Na pamięć to lekka przesada, ale orientuję się w temacie. Poza nazwami udało mi się opanować, które gatunki, w jakich regionach się przyjęły.

– Jak ty to zapamiętałeś?

– Ominiąłem kwestie tych, które się nie przyjęły. Franciszku, to jest proste. W południowo-wschodnich regionach przeprowadzono badanie pszenic ościstych, takich jak ostka grubokłosa, barbarossa, bendetka, bobilińska, tryumf mukulicki, zaborzanka, udyczanka, podolenka. Wnioski wyciągnięto na podstawie przeprowadzonych w ciągu pięciu lat siedemnastu doświadczeń. Na Pomorzu uprawa przyniosła fenomenalne efekty, z kolei w Wielkopolsce nie powinno się marnować na nie gleby.

– Tobie to tak łatwo przychodzi, bo twój ojciec jest prezesem Okręgowego Stronnictwa Rolniczego. Mój był słuchaczem w kwietniu tysiąc dziewięćset dwudziestego ósmego roku wykładu dotyczącego chwościka burakowego. Wrócił na dwór i ustawiał wszystkich pracowników po kątach, pokrzykując przy tym: „Ten Stanisław Kowerski to geniusz”.

Chwościk burakowy od 1925 roku niszczył plantacje buraków. Jest to grzybowa choroba roślin, która występuje jedynie w burakach, powodowana przez gatunek grzybów należących do workowatych.

To miłe, że taki lekkoduch jak Franciszek pamiętał, że pięć lat temu miało miejsce takie wydarzenie.

– Andrzej, dość tych pszenicznych dywagacji, bieżnijmy do Antoniego Hawelki na piętrowe kanapki z bryndzą i papryką, łososiem, kawałkami homara, kawiolem i serem szwajcarskim.

To była jedna z naszych przyjemności, na które od czasu do czasu sobie pozwalaliśmy. Chociaż mi to miejsce nie kojarzyło się tylko z kanapkami od Hawelki. Pałac Spiski nazwę zawdzięcza właścicielom, rodzinie Lubomirskich, starostom spiskim. To dzięki nim losy budynku związały się z teatrem. W pierwszej połowie XVIII wieku mieścił się tu prywatny teatr dworski. Tradycję tę kontynuował kolejny właściciel, Jacek Kluszewski, założyciel pierwszego miejskiego teatru. Pierwsze spektakle, zanim przeniosły się do budynku na placu Szczepańskim, odbywały się właśnie w Pałacu

Spiskim. Od 1787 roku wystawiano tutaj sztuki polskie i niemieckie oraz przedstawienia cyrkowe.

W latach 1909–1919 w niewielkiej przybudówce działało pierwsze krakowskie kino, Złuda, a wcześniej teatr Kineton, a od 1910 roku mieściła się tam redakcja „Ilustrowanego Kuriera Codziennego”.

W 1902 roku na górnych piętrach gmachu funkcjonowało gimnazjum żeńskie imienia królowej Jadwigi.

Niektóre panny, a i owszem, były atrakcyjne, ale nic nie było w stanie konkurować z kanapkami od Hawełki.

Światowy kryzys ekonomiczny dotknął również naszego zachodniego sąsiada, Niemców. Miliony ludzi straciły pracę. Wielu obywateli kojarzyło kryzys z przegraną w I wojnie światowej. U władzy była partia NSDAP, na czele z wpływowym, charyzmatycznym mówcą, Adolfem Hitlerem. Naziści obiecali ludziom pracę, obalenie komunizmu i powrót do świetności Niemiec sprzed I wojny światowej. Hitler i jego sprzymierzeńcy za zaistniałą sytuacją obwiniali Żydów, marksistów, czyli komunistów i socjaldemokratów, oraz ludzi odpowiedzialnych za podpisanie w czerwcu 1919 roku traktatu wersalskiego. Społeczeństwo miało nadzieję, że naziści spełnią swoje obietnice. Dokładnie 30 stycznia 1933 roku prezydent z Hindenburg mianował kanclerzem Niemiec Adolfa Hitlera. Co to oznaczało dla Polski?

– Andrzej, mój drogi synu...

Jak ojciec zaczynał od „drogi synu”, to wiedziałem, że szykuje się poważna rozmowa. Ojcu zależało, żebyśmy mieli wiedzę dotyczącą sytuacji politycznej, jaka ma miejsce w kraju i na świecie. Powtarzał:

– Wiedza, wiedza i przede wszystkim wiedza. Bez niej nic w życiu nie osiągnięcie.

– Ojcze, słyszałeś, że dwudziestego trzeciego marca Reichstag przyjął ustawę o pełnomocnictwach. A tym samym naziści posiadają pełnię władzy w Niemczech.

– Andrzej, Hitler od początku miał taki plan. Najpierw podjął ze zwolennikami swoich idei działania, które doprowadziły do uzyskania pełni władzy przez Narodowosocjalistyczną Niemiecką Partię Robotników. Partię rasistowską, antykomunistyczną, antydemokratyczną i antysemicką. Bazę tej partii stanowią zrujnowani chłopci, weterani pierwszej wojny światowej i przedsiębiorcy, którzy stali się ofiarami wielkiego kryzysu gospodarczego.

– Zwolennicy Adolfa Hitlera, tacy jak Joseph Goebbels.

– Właśnie tacy fanatycy. Po mianowaniu Hitlera na kanclerza Rzeszy Goebbels powiedział: *Jeśli zdobędziemy władzę, nie oddamy jej nigdy, chyba że zostaniemy wyniesieni z naszych gabinetów jako trupy*³. Synu, obawiam się, że nic dobrego z tego nie wyniknie.

³ Za: https://pl.wikiquote.org/wiki/Joseph_Goebbels [dostęp 15.08.2024].

– Wczoraj na spotkaniu członków zamojskiego Stronnictwa Narodowego rozmawialiśmy o tym, że Hitler dąży do zerwania postanowień traktatu wersalskiego.

Mój ojciec był przywódcą ideowym lubelskiego i zamojskiego Stronnictwa Narodowego. Głównym celem programowym tego ugrupowania była budowa katolickiego państwa narodu polskiego. Partia opowiadała się za hierarchiczną organizacją społeczeństwa oraz przekształceniem ustroju politycznego, by zwiększyć rolę elity narodowej w państwie.

– Myślisz, ojcze, że będzie wojna?

– Mówi się, że Józef Piłsudski planuje wojnę prewencyjną wobec Niemiec. Nie wiem, czy to są tylko pomówienia, wnioski niesłusznie wyciągane na podstawie realizowanej polityki, która ma celu zdystansowanie Niemiec, stłumienie narastającego rewizjonizmu i militarizmu. W ostatnich miesiącach Polska zwiększyła produkcję wojenną o blisko sto procent.

– Ojcze, jak będzie trzeba, chwycimy za broń. Otrzymałem stopień podoficerski, który zobowiązuje mnie do podjęcia służby wojskowej w czasie wojny. Będę walczył, tak jak mój brat, świętej pamięci Krzysztof.

Miałem siedem lat, jak Pan Bóg go zabrał, ale wiedziałem, że był odważnym patriotą, którego w sercu podziwiałem i szanowałem.

Rozdział 6

Dwudziestodwulatek nie żyje

Rok 1934 rozpoczął się podpisaniem deklaracji polsko-niemieckiej o niestosowaniu przemocy. Dokładnie 26 stycznia polski poseł Józef Lipski i niemiecki minister spraw zagranicznych Konstantin von Neurath w Berlinie złożyli swoje podpisy. Oba państwa zadeklarowały, że przez najbliższe dziesięć lat wszystkie sporne kwestie będą rozwiązywać pokojowo.

Relacje z Niemcami można było określić jako poprawne. Potwierdzeniem była wizyta niemieckiego ministra propagandy i kultury, Josepha Goebbelsa, która odbyła się 13 czerwca 1934 roku.

Parę tygodni po moich dwudziestych drugich urodzinach do Warszawy przyleciał Joseph Goebbels na spotkanie z marszałkiem Józefem Piłsudskim i ministrem spraw zagranicznych Józefem Beckiem. Na lotnisku na Polu Mokotowskim niemieckiego ministra propagandy przywitał minister spraw wewnętrznych Polski, Bronisław Pieracki, komisarz rządu miasta Warszawa, Władysław Jaroszewicz, oraz poseł nadzwyczajny i minister pełnomocny Niemiec w Polsce,

*Dalsza część książki dostępna w wersji
pełnej.*

